

A. K. Green.

Który z nich?

6 (Ciąg dalszy).

Na twarzy mojej zamalowało się pewne zdziwienie. Ten portret nie był podobny do Alfreda, jakiego widziałem wczoraj wieczorem.

— Słyszałem, że i on ma swoje kłopoty. Od pewnego czasu nie przychodzi już zabawiać nas swą dumną i rozmarzoną miną. Ciekawym, co też uczyni z temi piętnastoma lub dwudziestoma milionami, które mu przypadną w udziale?

— Ożeni się.

— Ożeni się? Alfred? Nigdy w życiu! Wątpię, czy ma dosyć energii, by mógł wystać przez cały czas ślubnej ceremonii. Wydałoby mu się to tak nudnym! Przynajmniej takie mam o nim pojęcie.

— Nie byłem tego zdania. Albo Alfred Hardy zmienił się zupełnie, albo też Jan Dorlaix znał go tylko bardzo powierzchownie. Skłaniałem się raczej do pierwszej hipotezy, co przejęło mnie zaraz niepokojem. Jeżeli miłość zdołała go tak przeinaczyć, kto wie, czy nie uda mu się pozyskać serca młodej kuzynki? Powróciłem spiesźnie do swych zapytań.

— A trzeci brat, Lionel, zdaje się, że jest żonaty?

— Lionel? Tak... i nie! To znaczy, że jest wdowcem od kilku już lat. Nieszczęśliwie się ożenił. W rok po ślubie młoda pani Hardy przestała ukazywać się w świecie. Sądzę, że ojciec nie przebaczył mu nigdy tego małżeństwa.

— Co mu się nie podobało? Mała Klara jest bardzo rozkosznym dzieckiem. Widziałem ją wówczas, gdy poznałem jej wujka, Jerzego.

— Oh, dziewczynka jest bardzo miła, z matką jednak inna sprawa. Była ona... aby okazać się miłośnikami, powiedzmy tylko, że ekscentryczną. Nie wielkiego pod względem rodu. Nie była to kobieta odpowiednia dla Lionela, który mimo swych min hipokryckich nie jest wcale świętym. Nie mogę go ścierpieć, jest to rodzaj Tortufa. Nie znoszę ludzi, którzy chcą uchodzić za innych, niż są w rzeczywistości. Zresztą żaden z nich nie wart jest ojca, który był w całym znaczeniu tego słowa dzielny człowiekiem. Pokaż mi dziennik. Dlaczego go tak chowasz? Czy jest tam co więcej o śmierci Hardy'ego? Czy uważają to za samobójstwo? Byłby to smutny koniec po tak świetnym życiu.

Podaliśmy mu dziennik.

— Nie, nie za samobójstwo to uważają, raczej za zabójstwo. Truciznę wlał mu ktoś inny.

Jan przeczytał szybko artykuł, który wywołał w całej okolicy wielką sensację.

— Ależ to absurd! — zawołał. Żaden z tych chłopców nie jest zdolny do takiego łajdactwa, nawet Lionel?

— Zdaje się, że nie bardzo kochasz tego Lionela? — zapytałem.

Nie odpowiedział mi. Przeczytał właśnie moje nazwisko w artykule, który kończył.

— A odkąd to stałeś się takim milczkiem! W jaki sposób ty wmieszałeś się w tę sprawę? Wymieniono twoje nazwisko.

— Czytaj dalej!

Nie przytoczyłem tutaj całego artykułu. Dosyć będzie jeżeli powiem, że po moim wyjściu z pałacu aż do ukazania się dziennika, nie odkryto nic nowego. Gdy Jan skończył czytanie, rzucił na mnie badawcze spojrzenie.

— To mnie zadziwia! — rzekł. Nigdybym nie pomyślał tego o żadnym z nich! Nigdy!

Potem dodał zupełnie obojętnym tonem, przechodząc nagle od uniesienia do pokoju.

— Co za niezwykła awantura! Jakież wrażenie ona wywrze!

Nie chciałem dać się wciągnąć na tę drogę. Obawiałem się, że nie zdołam utrzymać tajemnicy, skrytej w mem sercu. Jan nie spostrzegł zresztą mego milczenia; widać było, że przejął się tą nowiną.

— Pozory — rzekł wreszcie — przemawiają bez wątpienia przeciw Alfredowi. Biedny Alfred! Oto do czego doprowadziły go te długie godziny marzeń samotnych! Nigdy nie zaufałem w niczem człowiekowi niedołęznemu. Gdy taki zabierze się do czynu...

— Nie aresztowano go jeszcze — odparłem żywo. Zanim sąd wypowie o nim swe ostateczne zdanie, ja uważać go będę za niewinnego.

— Biedny Alfred! — zadowolił się powtórzeniem swego zdania Jan Dorlaix.

Słowami temi określał on jednocześnie wrażenie, jakie na opinii publicznej wywarła wiadomość

o tym wypadku. Ja osobiście nie poddałem się powszechnemu głosowi, jak również i policja, za co winienem jej oddać sprawiedliwość.

Chociaż sekcja wykazała we zwłokach zmarłego milionera taką dozę trucizny, iż mogła ona spowodować w ciągu kilku minut śmierć trojga ludzi, nikogo jednak nie aresztowano. Dodam jeszcze, że nie roztocono nad ukochanym synem nieboszczyka większej czujności niż nad pozostałymi członkami rodziny do niedawna tak bardzo poważanej. Tymczasem dzienniki prześcigały się w podawaniu najdrobniejszych szczegółów dotyczących sprawy, o której wszyscy otwarcie mówili, jako o „otruciu na avenue Champs-Elysées“. Jedno z pism codziennych pomieściło fantastyczny artykuł o niezmiernych sumach traconych przez Jerzego na wyścigach. Zakłady jego, mówiono, wynosiły miesięcznie setki tysięcy franków. Drugie pisało o troskach i zmartwieńiach, jakie sprawiało ofierze nieporządne życie Lionela i jego przebywanie często w najpodrzedniejszych lokalach. By okazać jak jego dziwactwa różniły się od wybryków jego braci, przytaczano między innymi fakt, że pewnego wieczoru zamówił dla przyjaciół kolację w jednej z większych restauracji na avenue de l'Opera i gdy miano siadać już do stołu, zerwał się nagle i wybiegł szybko w pogoni za przejeżdżającą jakąś kobietą. Nikt z rodziny nie znał dobrze jego postępowania; nie wiadano nigdy, ani kiedy on wyjdzie z domu, ani kiedy powróci. Zwykle bywał podniecony, nie mogąc spędzić spokojnie wieczoru w jednym miejscu. Bez żadnej widocznej przyczyny wychodził niespodzianie w środku koncertu lub przedstawienia w teatrze na ulicę i tak się spieszył, jakby w grze było jego życie. Przytem wszystkim nie znośił żadnego zapytania, najmniejszej uwagi. Poświęcono złośliwą wzmiankę i Alfredowi. Mówiono w niej o zażytych jego stosunkach z rodziną Monteroix z Wersalu, o jego tam zaręczynach, które potem zerwał nagle bez żadnego widocznego powodu. Autor tego artykułu starał się okazać jego niegodne w tym względzie postępowanie. Ja osobiście rozumiałem doskonale to zachowanie się Alfreda. Zerwanie jego narzeczeństwa nastąpiło wkrótce po przybyciu Genowefy do domu swego wujka.

Wszyscy otrzymaliśmy wezwanie na czwartek do gabinetu sędziego śledczego. Jeden z pierwszych przybyłem na naznaczoną porę. W ten sposób nie uszło mojej uwagi nic, żadne słowo, żaden gest, żaden znak. Panna Saugey, która weszła pod rękę z Lionelem, miała na sobie welon, zakrywający w zupełności jej twarz; mimo to przy przypatrywaniu się można było rozpoznać na niej wyraz niepokoju i bólu, który chciała ukryć przed tłumem. Jerzy, który odzyskał już swą zwykłą zimną krew panował wzrostem nad wszystkimi zebranymi, z pomiędzy których znałem zaledwie kilka tylko osób. Doktor Bressant usiadł koło mnie, nie odzywał się jednak ani słowem. I ja też nie starałem się naruszać jego rozmyślań, wiedziałem bowiem, jak bardzo przejął się tą przedwczesną śmiercią tego, kogo od tyłu już lat uważał za swego stałego pacjenta i przyjaciela.

Sędzia do mnie pierwszego zwrócił się z zapytaniem. Znałe są już wszystkie szczegóły, jakich mogłem udzielić. Pominę więc tę część badania, w której główną uwagę zwrócono na motywy, jakie mógł mieć zmarły, iż w tak niezwykłym wypadku zawołał obcego przechodnia z ulicy, a nie swych najbliższych. Następnie zdawali sprawę z sekcji rozmaici lekarze i eksperci toksykologii. Stwierdzili oni, iż śmierć pana Hardy'ego nie nastąpiła z przyczyn naturalnych, lecz z powodu przyjęcia do organizmu tak silnej dawki kwasu pruskiego, iż mogła ona powalić najsilniejszego nawet człowieka.

Nastąpiła krótka przerwa, z której skorzystałem jako prawny pomocnik panny Saugey, ostrzegając ją, by bardzo była roztropna w odpowiedziach na zadawane sobie pytania. Zdziwione i oburzone spojrzenie, jakie na mnie rzuciła, bardzo mnie zabolowało.

— Nic nie mam do ukrywania — odrzekła dumnie. Nikt nie śmie mi zadać pytania, na które nie byłabym w stanie odpowiedzieć z całą szczerością.

[Skłoniłem się, nic już nie dodając.

Gdy podniosła welon, by odpowiadać sędziemu, ze wzruszenia, jakie mną ogarnęło, poznałem jak dalece rozciągnęła nademną swą władzę ta młoda, raz jeden tylko widziana panna. Na ukośnik jej pięknych, regularnych rysów, szept podziwu rozszedł się w sali. Wszyscy zatrzymali swój wzrok na jej wdzięcznej postaci, gdy spokojnie i poważnie dawała sędziemu wyjaśnienia. Zaczęła od podania swego nazwiska:

— Nazywam się Genowefa Saugey; pan Hardy był moim wujem ze strony matki. Często pomaga-

łam mu w charakterze sekretarza i zazwyczaj ja pisałam jego listy na maszynie. Miałam prawo wchodzić do jego gabinetu i wychodzić, jakby z własnego pokoju. Wieczorem w dzień śmierci napisałam kilka listów, poczem, czując się zmęczoną, odeszłam na górę do siebie. Nie mogłam zdecydować się na spanie, dopóki jeszcze raz nie poprobuję pomódz mu w korespondencji, której dnia tego miał więcej niż zwykle. Zeszłam więc koło dziesiątej godziny. Na kilka chwil przedtem usłyszałam jakiś odgłos kroków w westibulu, potem głos Klary rozmawiającej z kimś na schodach. Nie spotkałam jednak nikogo, udałam się bowiem bocznymi schodami, co zawsze czynię dla pośpiechu. Jak opisać przerażenie, strach, jaki mnie ogarnął przy otwarciu drzwi od jego gabinetu! Mój drogi wuj leżał na podłodze.....

Łkanie przerwało jej na chwilę słowa, wkrótce jednak mówiła dalej:

— Był martwy. Podeszłam drząc cała do stołu, przy którym upadł. Bezwiednie oczy me padły na list niedokończony, którym wuj był zajęty widocznie, gdy go śmierć zaskoczyła. Jakiś instynkt przestrzegł mnie, że tu znajdę dla siebie ostatnie słowa, wskazówkę tłumaczącą ten nagły zgon. Nie omyliłam się. Pięć oderwanych słów, nie odnoszących się w niczem do treści listu, mogły mieć jedno tylko znaczenie, zwłaszcza dla mnie, która znałam straszną tajemnicę, jaką wuj mi powierzył. Była to wskazówka przeznaczona jedynie dla mnie. Nakładała ona na mnie ciężką odpowiedzialność. Musiałam mieć czas do namysłu, by powziąć jakie postanowienie. Bojąc się, by mnie kto tam nie zastał, oderwałam pospiesznie część arkusza, na której znajdowały się te fatalne słowa i pobiegłam ukryć się na strychu domu, nie zastanawiając się nad tem, iż będą mnie wszędzie szukali, iż znajdą ten papier, iż....

Nie dokończyła zaczętego zdania. Miałam wrażenie, że jeżeli tak daleko posunęła się w szczegółach, to głównie dlatego, by uniknąć pytań, jakie bez wątpienia zadałby jej sędzia wobec najmniejszych nawet przemilczeń!

Po dojściu do tego punktu swych wyjaśnień, zatrzymała się nagle, jakby pohamowana przez ostre spojrzenia swych kuzynów. Czy słusznie ona czyniła, że nadawała tak kompromitujące znaczenie tym kilku luźnym słowom, w których może nikt inny nie dopatrzyłby się niczego, jeżeliby ona sama przez nieroztropność nie zwróciła na nie uwagi sędziego. Lecz ten list adresowany do trzech braci? Był on zupełnie wyraźny. Po przeczytaniu go, żadna wątpliwość nie mogła powstać w umyśle sędziego. Wszelkie więc wykrety, gdyby nawet sumienie pozwoliło jej na to, nie przydałyby się już na nic. Tem nie mniej z widocznym niepokojem oczekiwała na zapytania. Sędzia wziął właśnie z biurka ten list. Alfred zapomniawszy się nawet do tego stopnia, iż rzucił swym braciom znaczące, pełne smutku spojrzenie, na które mu jednak nie odpowiedzieli.

— Pani będzie łaskawa — rzekł urzędnik — przyjrzeć się temu listowi. Czy poznaje go pani?

— Tak, panie. Jest to list, który powierzył mi mój wuj, zalecając, bym go do tej pory miała przy sobie, dopóki wuj będzie pozostawał przy życiu i w dobrym zdrowiu.

— Adresowany on jest, jak to widzę, do panów Jerzego, Lionela i Alfreda Hardy'ch.

— Tak, panie. Mój wuj polecił mi, abym po jego śmierci, o ile ona zaszłaby w sposób nagły lub podejrzanym, wybrała dla wręczenia go moim kuzynom taką chwilę, aby mogli oni przeczytać go razem.

— List ten jest odpieczętowany. Był więc oddany tym panom i przez nich przeczytany?

— Tak, panie, wieczorem zaraz po śmierci mego wuja. Po znalezieniu papieru, który bepotrzebnie chowałam, jeden z moich kuzynów wyrzucał mi, że w ostatnich słowach przerwanego listu dopatruję się znaczenia, jakiego one nie mają. W oburzeniu na to wyjęłam list z miejsca, w którym go nosiłam. Nie znałam jego treści, lecz sądząc z okoliczności, w jakich mój wuj pisał go, byłam przekonana, że on potwierdził podejrzenia, które w przeciwnym razie wydałyby się monstrualnymi, a zwłaszcza u mnie....

[Znowu wzruszenie przerwało jej słowa.

Sędzia spojrzał na nią ze współczuciem. Mimo dodatniego wrażenia, jakie wywierała na nim młoda panna, nie mógł on jednak zapomnieć o głównym swym obowiązku odkrycia prawdy. Polecił więc Genowefie wyjaśnić okoliczności, do jakich czyniła aluzję, czyli innymi słowy wytłumaczyć, dlaczego pan Hardy napisał ten list.

Wzruszenie młodej panny coraz się wzmagало.

— Czyż list nie tłumaczy się sam przez się?